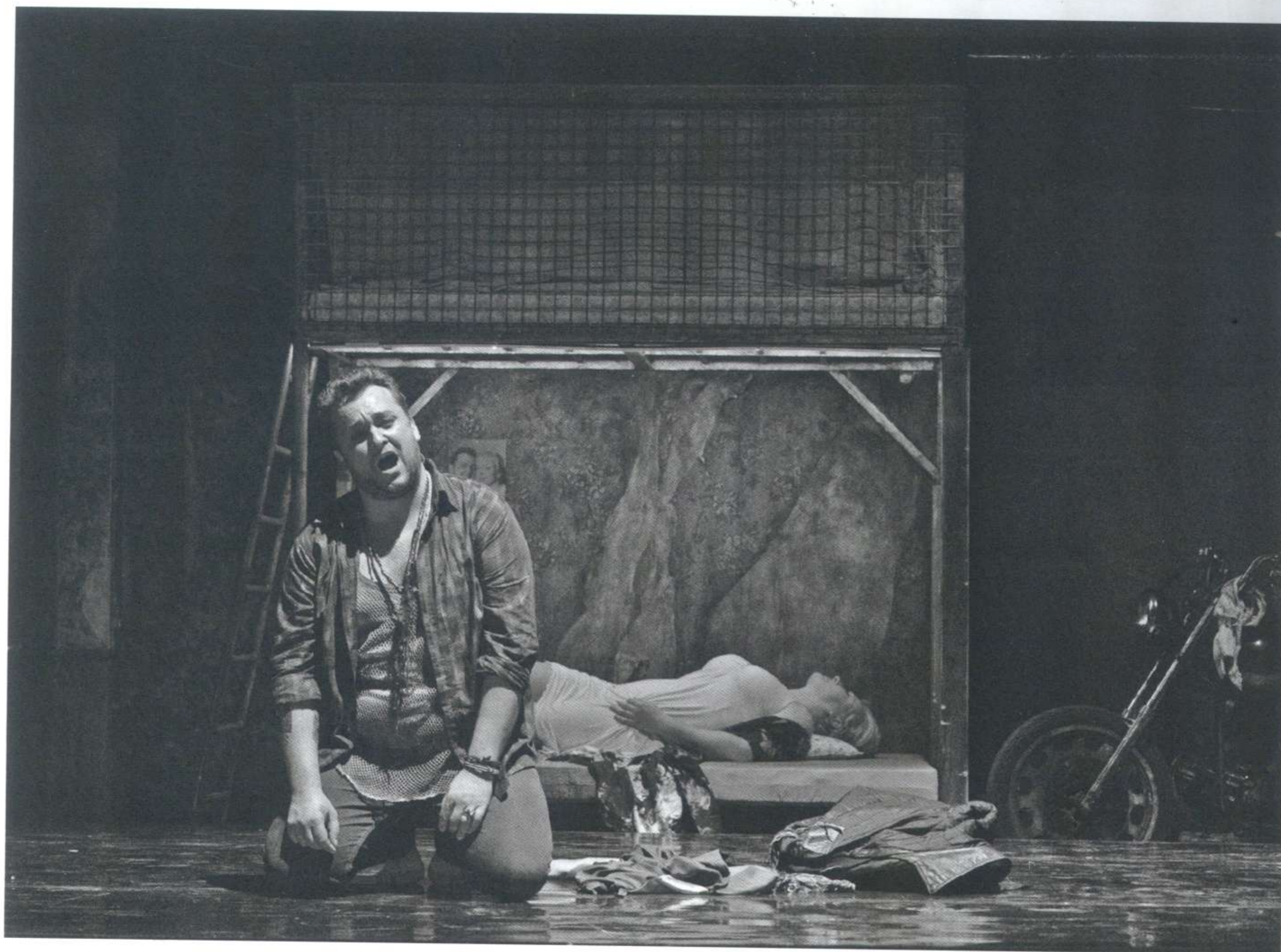




Kto tak pięknie gra?

2 **Stefan Drajewski** \ Odpowiedź jest prosta: orkiestra Teatru Wielkiego w Poznaniu pod dyрекcją maestro Tadeusza Kozłowskiego. Gdyby nie on, poznańska premiera *Manru* Ignacego Jana Paderewskiego wypadłaby przeciętnie. O inscenizacji nie będę pisał, ponieważ została ona wnikliwie przedstawiona na tych łamach przy okazji premiery warszawskiej (RM 11/2018). Dodam tylko, że ze względu na rozmiary sceny Opery Narodowej i Teatru Wielkiego w Poznaniu spektakl, który powstał w koprodukcji obu tych instytucji, stał się bliższy publiczności. Przekonał mnie pomysł, aby trzeci akt zaśpiewać po niemiecku (różnica w stosunku do wersji warszawskiej). Był to naturalny sygnał obcości tytułowego bohatera, szkoda tylko, że ze względu na nagranie filmowe, nie wyświetlono polskiego tłumaczenia.

Nie widziałem premiery warszawskiej, ale doskonale pamiętam inscenizację Laco Adamika i Macieja Figasa (Opera Nova w Bydgoszczy, 2006 – obecnie, po liftingu, można ją oglądać w Operze Krakowskiej). Twórcy zdecydowali się wtedy na kilka zmian, co zaowocowało interesującą konstrukcją dramaturgiczną i muzyczną dzieła oraz na nowy przekład, którego dokonał Roman Kołakowski. Realizatorzy warszawsko-poznańscy popełnili dwa grzechy założycielskie: zagrali wszystkie nuty skomponowane przez Paderewskiego i wybrali przekład Stanisława Rossowskiego z 1901 roku. Pierwszy grzech ujawnił mankamenty kompozytorskie: Paderewski miał doświadczenie na scenie politycznej,

a nie operowej, stąd dłużyzny – zwłaszcza w drugim akcie – i papierowe charaktery bohaterów. Kompozytor, pisząc swoje jedyne dzieło operowe, był pod wpływem Wagnera, co aż nadto wyraźnie i dotkliwie słychać. Drugi grzech wynika albo z ekonomii, albo z lenistwa realizatorów w poszukiwaniu tłumaczenia, które korespondowałoby ze współczesnością, zwłaszcza że inscenizacja przenosi akcję w XX wiek.

Tadeusz Kozłowski udowodnił, że w każdej operze można znaleźć momenty, dla których warto ją prezentować na scenie, nieco schować to, co nie przynosi splendoru (na przykład patos). Maestro konsekwentnie wydobył niuanse emocjonalne charakteryzujące postaci i sytuacje dramaturgiczne. Szkoda tylko, że soliści nie zrealizowali tych muzycznych treści na scenie. Spośród nich najbardziej spodobał mi się Dominik Sutowicz (*Manru*). Lubię taką barwę głosu tenora. Sutowicz był też najbardziej wyrazowy wokalnie i aktorsko, czego nie można powiedzieć o Magdalenie Nowackiej, której głos nie docierał do dalszych rzędów na parterze. Rozumiem, że Ulana była zmęczona życiem, odtrąceniem, biedą, ale rozumiem także, dlaczego *Manru* nie dał się kolejny raz uwieść jej głosowi. Ciekawą postać stworzył Mikołaj Zalasinski (*Urok*), chociaż nie ustrzegł się drobnych nieczystości w śpiewie.